

Witold Wyrwa

# Między prawdą a grzechem

*Rodzinie i przyjaciołom*

Solipsyzm [łac.], filoz. pogląd, zgodnie z którym rzeczywiste i bezsporne istnienie można przypisać jedynie podmiotowi (umysłowi) poznającemu (własnemu „ja”), a cała rzeczywistość jest tylko zespołem jego indywidualnych wrażeń.

*Nie mogę przekroczyć doświadczenia, a doświadczenie musi być moim doświadczeniem. Z tego wynika, że nic poza moim „ja” nie istnieje; ponieważ to, co jest doświadczeniem, jest jego [jaźni] stanami.*

F.H. Bradley

# CZEŚĆ PIERWSZA

## Król Upadku

### I

Zakładam skórzane buty w szpic. Naciągam granatowe nogawki tweedowych spodni, zdecydowanie za długich jak na tę porę roku. W spodnie wciskam kraciatą koszulę, by po raz kolejny stwierdzić, że zasysam się jak suszony owoc. W przeciwieństwie do wielu rzeczy brak lustra mi służy. Od dawna unikam spojrzenia sobie oczy. Boję się zobaczyć prawdę, od której uciekam długi czas. Leżenie na plecach i oglądanie płataniny pajęczej sieci to ostatnio moje ulubione zajęcie. Sieć ma kolor twoich włosów zasnutych warstwą czasu. To płatanina, którą sam usnułem i nie wiem, jak się z niej wyplątać.

Wychodzę z mieszkania, o ile da się tak nazwać klitkę na poddaszu. Po prawej stronie ciemna wnęka, która imituje kuchnię. Wyposażenie to zdezelowana peerelowska szafka z opadającymi przy otwieraniu drzwiczkami. Na niej kuchenka podłączona do butli z gazem, obok emaliowany zlew z rdzawymi zaciekami, nad nim druciana suszarka z naczyniami, choć liczba mnoga jest na wyrost – talerz, miska, dwa kubki, parę kufli po piwie zabranych niechący po pijaku z okolicznych knajp. Poza tym tylko obszarpany taboret i okrągły stolik, który wygląda, jakby ktoś go ukradł z restauracyjnego ogródka. Dalej pomieszczenie niezasługujące na miano pokoju – łyse cegły, szare wytarte deski, wysuszone legary, w które walę pięściami, gdy przeleje się czara goryczy. Okno w dachu jest nie większe niż książka, pod nim poplamiony materac (stał przy kontenerze na gruz w dniu, w którym tu zamieszkałem) chowa się pod równie brudną pościelą. Łazienkę na półpiętrze dzielę z innymi mieszkańcami tej upadłej kamienicy.

Opuszczam to miejsce, które sam nazywam grobowcem. Schody jęczą niczym więzień wycieńczony niekończącym się przesłuchaniem. Na klatce unosi się zaduch całodziennego żaru. Im niżej, tym chłodniej, ale i więcej zapachów. Wypociny gospodyń domowych przemieszane z uryną ich wiecznie nietrzeźwych mężów. Schodzę powoli jak król po schodach westybulu. Rozpoczynam codzienne przyjęcie straceńców. Przy drzwiach bramy stoi pijany sąsiad. Opiera się o ścianę, by utrzymać pion. Przyśpieszam kroku, bo wiem, że zaraz poprosi mnie o pieniądze. Nie lubię wspierać cudzych nałogów, sam mam ich sporo. Na szczęście jest tak zalany, że stanowią dla niego tylko smugę. Dla samego siebie znaczę niewiele więcej. Jestem łuną pragnień i wspomnień człowieka, który wciąż się tli.

Idę ulicą, korkiem buta stukam o chodnik. Ten dźwięk świadczy o tym, że nadal nie zniknąłem. Ssie mnie w żołądku. Zachodzę do sklepu. W ciemnym pomieszczeniu wyłożonym towarami – od pod pasek po drożdżówki – specjalne miejsce zajmują alkohole wszelkiej maści. Pod szklaną ladą urodzaj wyrobów tytoniowych, za nią – kobieta z przetłuszczoną skórą i farbowanymi blond włosami. Podkreśla swoją zenującą kobiecość grubą kredką do oczu i jaskrawozielonym cieniem do powiek. Obfitość jej ciała wylewa się spod jaskraworóżowej koszulki. Czuję pot, który zbierała cały upalny dzień. Miesza się z tannim, zwietrzałym dezodorantem. Jedynym przyjacielem sprzedawczyni jest mały wiatrak, który niczym pacjent szpitala psychiatrycznego kręci wciąż matnią, do której został zaprojektowany. Egzystencja tych obojga ma ze sobą wiele wspólnego; odróżnia ich tylko to, że ona ma jeszcze nadzieję. Nie wiem na co, ale zwykle na zalanych meneli drze się, nie oszczędzając inwektyw. Do przystojniejszych uśmiecha się, szczebioce, mruga doklejonymi rzęsami. Łudzi się, że znajdzie się jakiś rycerz, który zabierze ją z jej klatki i obdaruje czymś, co widziała w brazylijskim serialu.

– Proszę setkę i sok pomidorowy.

– Jaki pan dzisiaj elegancki – zagaduje, wypinając obfite piersi.

Wymuszam uśmiech, choć nie wiem po co. Wychodzę. Mimo wszystko cieszą mnie jej słowa, znaczą tyle, że nie stoczyłem się jeszcze na dno. I po chwili nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Staczam się w końcu świadomie, nie podejmując oporu. Celem jest zatem dno. Może nawet w upadaniu jestem kiepski?

Mdli mnie. Wchodzę przez uchylone drzwi bramy. Opieram się o ścianę. Chwytam za brzuch. Biorę łyk soku – substytut śniadania. Każdy wie, że nie pije się na pusty żołądek. Kręcę głową, nie dowierzając własnej głupocie. Odkręcam setkę, biorę kojący łyk. Trzymam go długo w ustach i przełykam z wdzięcznością. Pałaca cieciz gładzi mój przełyk. Delektuję się tą chwilą i czekam na drugą część. Kończę rytuał rozpoczynający codzienne znieczulanie. Wychodzę. Remedium zaczyna działać.

Wreszcie ogarnia mnie spokój. Świat nie denerwuje mnie tak bardzo jak jeszcze parę minut temu. Nagle wstydzę się złych myśli o ekspedientce. Tej lekkiej pogardy. Jest mi przecież bardzo bliska. Jest moim dealerem. Gdyby jej zabrakło, codzienny rytuał przybrałby inny kształt. Jakby dobrze się przyjrzeć, to wiele nas nie różni. Ona, ja, wiatrak – wszyscy kręcimy się z uporem maniaka, lecz teraz wydaje mi się, że tylko to, co robi wiatrak, ma jakiś sens.

Przechodzę obok uchylonego okna. Za nim niebrzydka kobieta energicznie wymachuje ścierką. Myśl o ludziach dbających o porządek podnosi mi kąciki ust w kpiarskim uśmiechu. Normalni ludzie traktują porządek strasznie poważnie, jakby od tego zależało ich być albo nie być. Czy to strach przed obmową, czy prosty sygnał, że u nas wszystko w porządku? Czy bałagan nie jest odzwierciedleniem życiowych zawirowań? Tylko prawdziwi abnegaci tacy jak ja mają gdzieś syf i zdanie normalnych ludzi. Lubię to poczucie bycia innym niż większość. Wiem – pogarda nie jest niczym chwalebny, ale tylko ona mi została. Oprócz niej jeszcze muzyka, która dopełnia

obraz prawdziwego straceńca. Ty i ona, to wy mnie stworzyłyście. Bez niej byłbym tylko smutnym spitusem, bez ciebie – tylko zwykłym grajkiem.

Zastanawiałaś się kiedyś nad tym, co czyni nas tym, kim jesteśmy? Jakie zdarzenia musiały nastąpić, byśmy znaleźli się w miejscu, w którym właśnie jesteśmy? Czy byłbym dziś Królem Upadku, gdybyś nie stała pod barem w tych seksownych szpilkach? Opierałaś się o wysoki stolik, z podwiniętą ponętnie nogą. Czarna, taliowana sukienka przylegała do twojego zgrabnego ciała. W mgnieniu oka wyzwoliłaś we mnie wszelkie pierwotne instynkty. Zazwyczaj nie zagadywałem dziewczyn. Wręcz przeciwnie, zawsze wynajdowałem usprawiedliwienie, by tego nie zrobić. Wtedy nawet nie zadałem sobie pytania, czy powinienem. Jakby wielka ręka pchnęła mnie w twoim kierunku. Dostrzegłaś, że idę w twoją stronę i nie było już wyjścia. Pałałaś papierosa, więc i ja zapaliłem. Starłem się to zrobić jak filmowy twardziel. Musiało dziwnie wyglądać, ale uśmiechnęłaś się. Nie pamiętam, co powiedziałem – pewnie coś głupiego, bo parsknęłaś śmiechem. Może byłem nieco spięty, ale ty też usiłowałaś być bardziej wyzywająca niż w rzeczywistości. To chyba był taki wieczór uzurpacji. Chcieliśmy być jak postaci z filmów. Mówić coś, czego normalnie byśmy nie powiedzieli, robić to, czego normalnie byśmy nie zrobili. Tego wieczoru próbowaliśmy skraść parę przeżyć, o których zawsze marzyliśmy. Zwykle żyjemy tak, jak nie chcielibyśmy żyć. Zamiast podejść do dziewczyny, która nam się podoba, na zawołanie znajdujemy wymówkę. Idziemy do domu, włączamy pudełko marzeń i oglądamy, jak inni robią to za nas. Ten wieczór był inny. Wiem, że dla ciebie też. A może tylko chcę w to wierzyć? Może zawsze ubierasz się atrakcyjnie, wykorzystujesz przyrodzone wdzięki. Zapalasz papierosa i podwijasz nogę. Nie zaciągasz się głęboko, co zdradza, że nie robisz tego często. Wysyłasz mnóstwo sygnałów – od ponętnego wyglądu do uroczego dziewczęcego śmiechu, który

rozsiewa motyle w brzuchu. Wiem – motyle w brzuchu są infantylne, ale do dziś czuję ten lekki ścisk w żołądku. Byłaś połączeniem seksbomby i słodkiej dziewczyny, którą chce się kochać na zawsze. Pewnie oczekiwaliście bardziej literackiego porównania? Wybaczcie, to tylko zapiski upadłego mężczyzny. Jesteśmy w gruncie rzeczy prości. Dopiero smutek czyni nas donioślejszymi.

## II

Wchodzę do Absencji. Na stoliku stawiam futerał z trąbką. Wiem – powinienem był napisać, że niosę w ręku futerał. Teraz jesteście źli. Część widziała mnie z rękoma w kieszeniach, inni z luźno opadłymi. Jak sobie mnie wyobraziliście? Wysoki blondyn czy krępy brunet? Broda, wąs, baczki? Włosy długie, krótkie, lokowane, irokez, kuc, jeź? Nos bulwiasty, szpiczasty, szopenowski, może mały, foremny? Oczy przenikliwe czy mętne, niebieskie czy ciemnobrązowe? Jasna karnacja, opalony, piegus? Dłonie drobne, takie, które delikatnie pieszczą, czy wielkie, mocne, które boją się, że sprawią ból? To nie ma znaczenia. Możecie sobie dowolnie wybrać. Nie dlatego, że nie mam twarzy, ale dlatego, że straceńców jest wielu. Co dnia mijacie ich na ulicy. Siedzą obok w tramwaju albo pakują wam bułki w piekarni. Jesteśmy obok was, gdy na straganie wkładacie jabłka do siatki i gdy ćwiczycie na siłowni. Jesteśmy obok was nawet, gdy jesteście same, bo to wy nas stworzyłyście. Jesteśmy nierozzerwalnie złączeni. Gdy człowiek odbiera życie, wówczas to życie należy do niego.

Jest jednak cecha, która łączy wszystkich straceńców. Jaka? Odpowiem opisowo. Wyobraź sobie dziecko, najlepiej biedne. Niech to będzie dziewczynka. Brunetka, włosy do ramion, zaczesane w kitkę. Ciemne, urzekająco rzewne oczy, takie, które znają wyrzeczenia i smutek. Napisała list do Mikołaja – na Gwiazdkę chciałaby strój baletnicy, taki z doczepianymi skrzydełkami i różdżką, coś jak

Dzwoneczek z Piotrusia Pana. Jej marzenie jest proste – chce pójść na bal karnawałowy. Zapomnieć o biedzie. Dostać od losu jedno wyjątkowe wspomnienie. Choć przez chwilę nie czuć się jak ktoś gorszy, niewart porządnego ubrania, nie mówiąc o uwadze, zainteresowaniu, miłości. Nadchodzi Wigilia. Dziewczynka idzie do piwnicy. Wyciąga kartony i z trudem niesie na swoje piętro. Wyciąga sztuczną, wysłużoną choinkę. Czyści ją mokrą szmatką. Zakłada bombki, zebrane z zeszłego roku włosy anielskie i lampki. Na koniec idzie po krzesło i przywiązuje na czubku gwiazdę z piernika, który upiekły kiedyś z mamą. Robi się ciemno. Dziewczynka zapala świeciłka. Patrzy przez okno, wyczekując pierwszej gwiazdki. Do domu wraca mama. Obładowana siatkami dyszy ciężko i stawia je z trzaskiem. Patrzy z wyrzutem na palące się lampki. Dziewczynka spogląda błagalnie, bo przecież dziś jest Wigilia. Mikołaj nie przyniesie jej wymarzonego prezentu, jeśli choinka nie będzie pięknie przystrojona. Nakrywają do stołu. Dwa miejsca zostają puste. W garnku bulgocze barszcz z paczki. Na patelni skwierczy karp. O dziwo są też pomarańcze i trochę smakołyków. Dziewczynka bierze wielką śliwkę w czekoladzie i wpycha ją całą do buzi. Matka patrzy z czułością i lekkim uśmiechem. Proponuje, by wyszła na dwór wyrzucić śmieci.

– Nie zapomnij sprawdzić, czy weszła pierwsza gwiazdka! – krzyczy za nią.

Gdy dziewczynka wraca, widzi pod choinką prezenty. Cieszy się i skacze.

– Widziałas Mikołaja? – pyta podekscytowana.

– Musiał je podłożyć, gdy byłem w toalecie – odpowiada mama.

Siadają do stołu. Dziewczynka je jak najszybciej, by otworzyć prezenty. Każda potrawa skosztowana, naczynia zniesione, kawa zaparzona, na talerzu kawałek sernika. Dziewczynka patrzy pytającym wzrokiem. Matka uśmiecha się i pozwala jej otworzyć prezent. Biegnie do choinki. Pada na kolana i z nadzieją w oczach rozrywa

czzerwony papier. Jest! W środku znajduje się różowy karton w białe gwiazdki z celofanowym okienkiem, przez które widać biały strój czarodziejki. Dziewczynka krzyczy z radości. Unosi karton do góry i z niedowierzaniem myśli: *On naprawdę istnieje!*

Stop! Zatrzymaj się na chwilę. Wyobraź sobie wielkie, ciemne oczy dziewczynki tryskające szczęściem. Zapamiętaj jej uśmiech, rozszerzone źrenice i małe ogniki radości. Zaraz pójdzie przymierzyć swój wymarzony strój. Poczuje się szczęśliwa. Chwyciła Boga za pięty. Stanie naprzeciwko lustra, zacznie wymachiwać różdżką. Ta przeniesie ją na wymarzony bal. Ujrzy samą siebie schodzącą po schodach z białego marmuru. Plecy ma wyprostowane. Idzie z gracją, jak na kogoś dobrze urodzonego przystało. Otacza ją grupka koleżanek. W końcu ktoś jej zazdrości. Dostaje coś, czego pragnęła bardziej niż samego stroju – akceptację, poczucie równości, nadzieję na przyjaźń. Zatrzymaj się. Poczuj to, co ona, wczuj się w jej pragnienia, dostrzeż, co kryje się za tym strojem.

Jest tak szczęśliwa, że zasypia w prezencie, nawet przez sen kąciki jej ust unoszą się lekko. Rano wstaje. W pokoju przy stole siedzi pijany konkubent matki. Nie było go na Wigilii – chlał z kolegami. Patrzy mętłym, nienawistnym wzrokiem na małą, zaspaną dziewczynkę w stroju Dzwoneczka. Lży ją, nazywając małą kurwą. Pyta, skąd ma ten strój. Insynuuje, że chce się przespać z jakimś małym chujkiem. Matka zrywa się z łóżka, stara się go uspokoić, ale to go jeszcze bardziej rozjusza. Pyta, skąd miała pieniądze na te szmaty. Dziewczynka krzyczy, że to od Mikołaja. Konkubent pcha matkę na szafę, kładzie wielkie łapsko na jej brodzie i z pogardą ściska jej twarz, wykręcając w różne grymasy. Kobieta się trzęsie. Wie, co zaraz nastąpi. Ponownie słyszy pytanie, skąd to ma. Drżącym tonem wyrzuca z siebie wyjaśnienia, że to z pomocy społecznej, jakiś darczyńca kupił. Nie ma znaczenia, co powie. Jakby kupiła sama, zbilby ją, bo wydała bezsensownie pieniądze. Dostała z pomocy społecznej,

czyli wzięła jałmużnę. Rzuciła ją na ziemię – zrobiła z niego żebraka. Kopie matkę w brzuch. Dziewczynka krzyczy – kolejny cios. Dziewczynka bije menela w nieczułe udo. Chwyta ją, zostawiając na ramieniu siniaki. Wyrzywa z rąk różdżkę. Łamie na pół. Podchodzi do okna, otwiera je i wyrzuca połamaną różdżkę. Wraca i brutalnie rozdziera delikatne ubranko.

Stop! Zatrzymaj się. Wyobraź sobie ciemne oczy małej dziewczynki, która stoi upokorzona, w podartym marzeniu, w niespełnionych nadziejach. Nie! Nie odwracaj wzroku, nie zamykaj książki, miej trochę odwagi i spójrz jej w oczy! Stoi naprzeciw ciebie i patrzy prosto w twoje. Są ciemne, powoli napływają do nich łzy. Mieści się w nich cała bezradność, zabita nadzieja, światełko w tunelu zgaszone brudną, pijacką ręką. Zgrzyta zębami, trzęsie się, z gniewu i strachu. Puszczają zwieracze. Mocz cieknie po białych rajstopkach.

Wiesz, czym różnię się od małej dziewczynki? Nigdy nie potrafiłem cię znienawidzić. Myślisz, że ta dziewczynka po tym zajściu będzie taka sama jak przedtem? A ja? Bez ciebie, bez mojego marzenia, snuję się brudnymi ulicami, odziany w podarty strój małej wróżki, ze wzrokiem skrzywdzonego dziecka.

Myślałem, że wszystko się odmieni, że los zesłał coś dobrego. Odtąd będę lepszy, bo mam dla kogo. Przed tobą było mi wszystko jedno. Bezwładne następowanie po sobie kolejnych dni. Bez celu, bez trosk, bez wielkich radości. Dopiero gdy cię zobaczyłem, jak stoisz w tych szpilkach, zrozumiałem, że to na ciebie czekałem. Obudziłaś drzemiące cicho namiętności. Śpiących głęboko nie należy budzić – gdy otworzą oczy, mogą być nieobliczalni. Ja w ułamku sekundy straciłem cały rozum. Taka kobieta jak ty mogła mieć kogoś dużo lepszego. Mimo to podszedłem na drżących nogach, pchany wewnętrznym imperatywem, którego dziś nie rozumiem. Nie analizowałem, nie myślałem, nie obgadałem tego z kumplami. Wiedziałem, że muszę podejść, tak samo jak oddychać czy jeść. Wyglądało to trochę jak gra w pokera.

Udawałaś obojętność, jednocześnie w oczach miałaś wyzwanie. Taki bluff – nie zależy mi, ale się postaraj.

Weszliśmy do środka. Postawiłem futerał. Patrzyłaś z zaciekawieniem, co dalej. Kim jest ten facet? Będzie blamaż czy zachwyty? Przedstawiłem cię kolegom z zespołu. Zaczęłaś się śmiać, gdy usłyszałaś ich docinki. Stawka została podbita. Albo wchodzę za wszystko, albo przegrywam z kretesem i zostają mi tylko drwiny starych kumpli. Myślałem, że tętno rozsadzi mi aortę. Lecz i ja wtedy zrobiłem pokerową minę. Bez jednego fałszywego grymasu wyciągnąłem do ciebie dłoń. Zaprowadziłem pod podest szumnie zwany sceną. Postawiłem krzesło. Sam wszedłem na podwyższenie. Przeciągnąłem parę razy palcami po tłokach. Nagle zapomniałem wszystkie ćwiczone latami rzewne melodie, lecz odwrotu nie było. Zamknąłem oczy w nadziei, że jakoś się ułoży. Palce też mają pamięć, dzisiaj wiem to lepiej niż wtedy. *Graj tak, jakbyś ją całował* – pomyślałem, przyciskając zimny ustnik do warg. Wcisnąłem E i pociągnąłem długi dźwięk, zmieniłem na G. Poczulem ciepło zwykle chłodnego metalu. Przyjemne vibracje rozeszły się po pustym, ciemnym pubie. Przeszły mnie ciarki. Wyobraziłem sobie, że jesteśmy sami. Nie ma moich głupawych kolegów, jesteś tylko ty i jesteś moja. Siedzisz na krześle, zakładasz nogę na nogę. Opierasz nonszalancko łokieć o oparcie. Patrzysz na mnie z subtelnym uśmiechem. Twoje oczy świdrują mnie, są wyzywające, pragną potwierdzenia tego, co już dobrze wiesz. Byłem pewien, że jesteś warta każdej minuty, którą poświęciłem na ćwiczenie. Każdy dźwięk powstał po to, by dotrzeć do twych uszu. I grałem tak, jakby mnie tam nie było.

Gdzie byłem? Nie wiem, ale byłaś tam i ty. Chwyliłem cię za rękę i przyciągnąłem delikatnie do siebie. Wtuliłaś się, opierając głowę na moim ramieniu. Zaczęliśmy podrygiwać w rytm muzyki, tak jak tańczą nieśpieszni kochankowie. Pewni swoich uczuć, delektują się każdym muśnięciem, słodką wilgocią wiecznie głodnych ust. Wiedzą, że

za chwilę odpłyną w inną rzeczywistość, która istnieje tylko między nimi. To podróż, podczas której nie możesz sobie pozwolić na to, by umknął ci choćby jeden szczegół, gdyż taka przygoda nie zdarza się dwa razy. Jest jak przejście do innego świata – później nic nie jest takie samo. Nawet jeśli zapragniesz wrócić, to nie ma już dokąd. Świat, który znałeś, zaciera się z każdym pocałunkiem, ulatuje z każdym westchnieniem. Od tej pory głód nabiera nowego znaczenia, logika zaś traci jakąkolwiek wartość. Nowy świat ma swoje prawa. Równie dobrze można upaść do góry lub wzlecieć w dół.

Tak właśnie grałem, rozbierając cię po cichu, gładząc twoje plecy, muskając ustami twoją szyję, odgarniając rozżarzone włosy. Gdy skończyłem, spojrzałem na ciebie i wiedziałem, że byłaś tam ze mną. Patrzyliśmy przeciągliwie, tak jakbyśmy spojrzeniem próbowali sobie wszystko wyznać. Twoja drwiąca pewność siebie gdzieś znikła, przykryta strachliwym rumieńcem.

Nie wiedziałem, co dalej. Czułem się na tej scenie nagi. Odsłoniłem się przed tobą szybciej, niż bym chciał. Czekałem na to, co zrobisz. Czy weźmiesz mnie, razem z tym wszystkim, co ci wyznałem między C a C? Uśmiechnęłaś się lekko, nie kpiąco jak za pierwszym razem, lecz uroczco. Dziś uważam, że to był ten moment, w którym powiedziałaś, że bierzesz moje serce w dłonie i otoczysz je troską.

Byłaś darem od losu. Prezentem na Gwiazdkę. Teraz wróc do oczu małej dziewczynki – po tym mnie rozpoznasz. Nie po kędzierzawych włosach, szpiczastym nosie czy szczupłej sylwetce. Straceńca zawsze poznasz po oczach małej dziewczynki, które straciły nadzieję.

– Nie myśl tyle, bo zostaniesz myśliwym!

Z zamyślenia wyrывa mnie Mario, który wyłonił się, nie wiadomo skąd. Zaczyna się kolejne stawianie na nogi. Bierze dwa piwa. Jedno jest dla mnie. Krzesło ze zgrzytem przyjmuje ponad sto kilo jego tuszy. Kumpel posyła mi jedno z tych swoich spojrzeń pełnych zrozumienia, jakby chciał wziąć ode mnie trochę cierpienia. Zaczyna następną

mowę, która ma mi coś uświadomić... że warto żyć, że nie jestem jedyny, że będzie lepiej. Nie wiem, co mu powiedzieć. Są takie uczucia, których wyrazić się nie da. Tłumaczenie komuś własnej depresji ma tyle sensu co analiza chemiczna wlewu podczas chemioterapii. Być może lekarz wie, co ci podaje, jednak sam nigdy nie poczuje trucizny, która płynie w twoich żyłach. Są takie chwile, że chciałbym mu to wszystko opowiedzieć, ale wciąż słyszę pytanie: co później? Nic. Będzie tak samo. Trucizna nadal będzie krążyć w moich żyłach. Nie ma od tego ucieczki. Rezygnuję ze zwierzeń, by nie tracić energii. Zapalam papierosa, długo przytrzymuję dym w płucach. Ciągnę duży łyk piwa, niech znieczula mnie powoli. Mario ponownie rzuca wyświechtany tekst. Siedzimy tak razem, a jakby osobno. Lubię go, to prawdziwy przyjaciel, ale teraz jest mi całkiem obcy. On całym sobą woła: *wracaj do nas, bracie! Tu jest prawdziwy świat, tu jest rzeczywistość. Ty błędzisz gdzieś, gdzie niczego już nie ma. Idziesz po drodze, która prowadzi donikąd.* Pewnie ma rację. Lecz czym jest rzeczywistość, jeśli nie projekcją naszego umysłu? Może ty też byłaś tylko projekcją?

Wchodzi reszta ekipy. Chudy Manius dźwiga swoje klawisze, szersze niż on sam. Miętus taszczy w futerale kontrabas, Buźka zaś lekkim krokiem idzie z gitarą. Siadają. Pretensja, że pijemy bez nich. Zaczynają nadrabiać. Biorą strzała i po browarze. Buźce nie siadło. Krztusi się. Reszta się cieszy. Zaczynają się złośliwości.

– Ty to chyba oprócz tej ładnej mordki nic nie umiesz, nawet szocika nie potrafisz łyknąć jak facet! – docina Mario.

– Ja przynajmniej obudziłem się między parą jędrnych cycków, a ty, jak znam życie, musiałeś wigwam składać.

Buźka nie pozostaje dłużny. Ksywę ma po postaci z drużyny A. Znany ze swej skuteczności w zdobywaniu kobiecych wdzięków, zwykle odcina się, przechwalając erotycznymi podbojami.

– Pewne rzeczy taniej załatwiać na własną rękę – nie daje się zbić z tropu Mario.

- Jak tak dalej pójdzie, to umrzesz z ręką w gaciach.
- Tobie za to myli się dymanie z miłością.
- Patrz tutaj – wskazuje mnie otwartą dłonią niczym eksponat – oto masz żywy obraz tych, którzy uwierzyli w te brednie. Nawet ty ze swoją Renią Rączkowską wyglądasz lepiej niż on ze swoją dozgonną, a raczej zgonną miłością.
- Zejdź z niego, widzisz, że ledwo dycha! – woła zza baru Saszka.
- No już, wybacz, bracie. Wiesz, że cię kocham.
- Bużka obejmuje mnie po bratersku, daje buziaka w policzek.
- Uważaj, bo się w nim na serio zakochasz – cieszy się Mario.
- Miłość nie zna granic! – dodaje swoim cienkim głosem chudy Maniuś.
- Ty to masz, stary, pecha, stara cię zostawiła, a tu jakiś pedryl się do ciebie ślini – wali bez ogródek Miętus.
- No chodź, pocieszę cię. – Bużka przyciąga mnie do siebie. – Dowiesz się, jak to jest z prawdziwym casanową. – Udaje mu się mnie rozśmieszyć. Pierwszy raz od wielu tygodni uśmiecham się w niewymuszony sposób. – Patrzcie, jak się cieszy! – pęka z dumy Bużka.
- Bierze cię na litość! – podsycza Maniuś.
- I jaki rumieniec! No, nie wstydz się, każdy kocha, jak umie.
- Weź se dokręć śrubkę, co ci się poluzowała w tym kosmatym łbie! – staram się uciąć.
- I tak wiem, że wszyscy chcielibyście mnie przelecieć – stwierdza całkiem poważnie Bużka, teatralnie zaciągając się papierosem.
- Nie przeczę – cieszy się Maniuś, który jedyny mówi serio.
- Nie obraź się, ale nie jesteś w moim typie. Nie lubię facetów, którzy nigdy się nie golili. Jak z facetem to prawdziwym! – puszcza oczko do Maria, który właśnie zmierzwił gęstą rudawą brodę.
- Weź... – zachnął się perkusista. – Nie mogę przecież zdradzić Reni!
- Miłość do ręki! Ciekawe, co by powiedział na to profesor Starowicz? – wtrąca Miętus. – Miłość do ręki, zwana z łaciny amor rękus,

znana była już w czasach starożytnej Sparty – parodiuje seksuologa, akcentując mocne r. – Wojownicy wyruszający na wyprawę wojenną często nie mieli innego sposobu na zaspokojenie własnych potrzeb.

– Ech, chłopaki, czy wy kiedyś dorośnięcie? – pyta Saszka, a w odpowiedzi dostaje chóralne NIEEE!

– I z kim byś się śmiała, jakbyśmy byli wszyscy tacy poważni jak pan Trąba? – dodaje Miętus.

– Weź, skończ – tym razem Saszka nie żartuje.

– Dobrze już, dobrze – ucina nasz kontrabasista.

Jeśli dzięki komuś żyję, to właśnie dzięki nim. Dzięki tej bandzie obwiesiów i tanich podrywaczy, których pieszczotliwie nazywam gamoniami. Łączy nas nie tylko muzyka, lecz także szczerza przyjaźń – prosta, dosadna, pozbawiona finezji. Im bardziej wulgarna i pozornie tępa, tym prawdziwsza. Jej miarą nie jest czułość ani matczyzna troskliwość, raczej ich odwrotność. Pod tą hałdą chamskich docinków i niewybrednych uwag kryją się głębokie uczucia – wierność, solidarność, realne wsparcie. Te kpiące uwagi na temat mojego stanu stawiają mnie na nogi sprawniej niż współczucie. Nie pijemy, najpierw gramy. Nieraz próba po pijaku kończyła się awanturą, a nawet rękoczynami. Zamroczony alkoholem umysł nie słucha metronomu. Z uporządkowanego chaosu, jakim jest jazz, robi się tylko chaos, prostacka płatanina dźwięków. Chwytny za instrumenty. Stroimy, ustawiamy, rozgrzewamy się. Czekamy, aż Mario nabije, lecą pierwsze nuty. Po chwili wchodzi Miętus równo z Mańkiem. Noga sama wybija rytm. Nikt na nikogo nie patrzy. Każdy zatopiony w swojej frazie. Pochłania nas to niczym czarna dziura, w której nie ma nic prócz dźwięku. To moje paliwo, moje ukojenie. Niecierpliwie czekam na smętne kawałki, w których mam długie solówki. Wówczas czuję się najlepiej. Mogę dać ujście smutkowi, który pielęgnuję cały dzień. Jest to na tyle widoczne, że w przerwie między kawałkami Miętus sugeruje, że trzeba nagrać coś nowego.

– Chłopaki, skoro nasz Romeo jest chodzącym smutkiem, to może pierdalniemy jakąś smutną balladkę? Taką, po której dreszcz na plecach i łezka w oku, co?

– Dawno nic nowego nie zagraлиśmy. Warto by odświeżyć repertuar – zgadza się Maniuś.

– Tylko czy nasza panienka da radę, czy się rozplacze w trakcie? – musiał dosrać Buźka.

– Stul tę ładną mordkę, bo ci się potłucze – odbijam bez cienia żartu.

– Dobra, dobra, nie grzej się tak, stary.

– To jak? Masz tam coś, co chciałbyś spuścić? – dopytuje Miętus.

– Pomyślę. Może fajka i szocik? – proponuję.

– W końcu jakiś mądry człowiek! – cieszy się Mario.

Piję strzała, na fajkę idę w ką. Siadam na krześle. Zakładam nogę na nogę. Zaciągam się parę razy. Próbuję pierwsze nuty nowej ballady.

– Tej, to nie ma być marsz pogrzebowy! – krzyczy z daleka Miętus – smutek tak, ale nie chcemy grać po cmentarzach, tylko w salach koncertowych.

Wybił mnie z konceptu. Ale ma rację. Ostatnio tylko takie melodie przychodzą mi do głowy. Zaciągam się powoli. Słyszę w myślach Patha Metheny'ego z jego coverem Bitelsów *And I Love Her*. Cover coveru – czemu nie? W muzyce było już wszystko, tylko mnie jeszcze nie. Poprzedzam krótkim intro, przeciągle niższe H, na D, po trzeciej pętli H, D, C, E, D, F – dużo wolniej niż w oryginale. Nikt by się nawet nie domyślił, że to ten utwór.

– Kurwa, to jest to – stwierdza zadowolony Miętus.

Nie słucham go, gram dalej. Odchodzę od głównego motywu, dodaję to, co we mnie – niższe H na E i zejście do D – to chyba smutek. Później A na G na F i podwójne E – to chyba ból. A na G na B na górne C kilkakrotnie zapętlone – to marazm, w którym teraz tkwię.

Pętla to chyba najlepszy tytuł. Raz, że powtarza się ciągle ten motyw, jak ruminacje, których ciągle doświadczam. Dwa, że kręcę pętlę wokół własnej szyi. Z każdym dniem jest coraz ciaśniejsza. Czekam na dzień, w którym zacznę mnie dusić. Będzie to hymn wszystkich straceńców, wszystkich cierpiących przez niewinne kobiety, które nieświadomie posyłają urocze uśmiechy i nęcące spojrzenia. Wracamy na podest.

– Masz to?

– To będzie długi utwór. Głównym motywem będzie to – prezentuję – tylko w różnych oktawach. Jeszcze nad finałem muszę pomyśleć, ale chodzi mi o to, żeby po każdej sekwencji wrócić do tego motywu. W sensie, ja gram to, a później kończę tą pętlą i potem na przykład Maniek kontynuuje, ale tak, że znów zapętla ten motyw. Tak że... nie wiem...

– Nie no, spoko, ja to widzę – zachęca mnie Manius.

– Brzmi dobrze – potwierdza Miętus.

– Tylko to musiałyby być rzeczywiście długi utwór, kilkunastominutowy. Taki, w którym napięcie rośnie powoli, a finał jest z takim kopem, coś jak *Svantetic* Stańki, kapujecie?

– Dreszczyk i łezka – cieszy się Miętus.

– Dobra, panowie, zapowiada się pracowity wieczór – zagrzewa Buźka.

– Ja gram początek a cappella, później wchodzi Mario razem z Miętusem – proponuję.

– Let's play this shit! – kwituje ewidentnie podniecony Mario.

Lecimy z tematem. Nie dałem rady dograć do końca, Maniek się wtrącił, że trzeba dodać piano do początku. Nie dyskutuję, próbujemy dalej. Za trzecim razem wychodzi. Pałeczkę przejmuje Mario, przy pętli jest cisza, tylko lekkie muśnięcia pędzelków. Mocne uderzenie – Mario przerywa tę cichą harmonię. Wchodzi Buźka z niesamowitą solówką. Uwielbiam, jak on gładzi te struny. Wędruje palcami

po gryfie jak po plecach kobiety. Twarz wykrzywia w zamyślonym rozrzewnieniu. W końcu widać, że ma jakieś uczucia. W sumie tylko gdy gra, nie wygląda jak skurwysyn. Jest z nas najlepszy. Szeroka szczęka, nawet ogolona, ukazuje mocny ciemny zarost, który trzeba tępić każdego ranka. Włosy, jak drzewa w amazońskiej puszczy, zaczesane na brylantynę i te jasne, świdrujące oczy. Wystarczy, że założy biały T-shirt i skórzaną kurtkę i wygląda jak pieprzony Brad Pitt. I te skórzane botki, które nosi nawet latem.

Gdy go pierwszy raz zobaczyliśmy, każdy z nas miał wrażenie, że to taka ładna lala o inteligencji odwrotnie proporcjonalnej do nieskazitelnej urody, tyle że w męskim wydaniu. Siedział w barze, do którego przypadkiem wpadliśmy. Wtedy to on był takim mrukiem jak ja teraz. Palił papierosa za papierosem. Dopiero jak zagrał, zaczęliśmy na niego inaczej patrzeć. Prawdziwy mistrz. Nadawał każdej nucie wibrację, która wchodziła w najgłębsze zakamarki duszy. Nie odpuszczał żadnego dźwięku, każdy był dopieszczony do maksimum. Jak skończył, zaczęły się docinki w naszym stylu:

– Widzę, że Bozia dała ci nie tylko ryj jak z Beverly Hills dziewięćdziesiąt dwieście dziesięć, ale nawet potrafisz coś zagrać – zaczął Mario.

– Ty na loterii genów leżałeś najebany pod stołem zamiast kupić jakiś kupon.

Nagrodziliśmy nowego salwą śmiechu. I od razu wiedzieliśmy, że to swojak. Nigdy nie dał się zapędzić w kozi róg. Jeśli się nie odcinał, to tylko gdy wiedział, że pyskówka skończyłaby się złamanym nosem. Chyba wszyscy po trosze mu zazdrościliśmy. Ideał, niczego nie dało mu się zarzucić, oprócz tego, że zwykle nie mówił dużo o sobie. Każdy z nas, a szczególnie Mario, wylewał swoje żale prosto na stół. Nikt się nie wstydził. Różne szły zwierzenia. Mario przyznał się kiedyś, że mu nie stanął, gdy w końcu poderwał jakąś pannę. Maniuś nie szczędził nam swoich gejowskich opowiastek. Miętus był chyba najbardziej

stateczny, ale jak go stara wkurzyła, to też przychodził i kłął. Co innego Buźka. Coś niby mówi, ale w sumie nigdy nic konkretnego. Jak się go zapyta, to zawsze doradzi i to niegłupio, ale czasem mam wrażenie, że te nasze problemy zwyczajnie go nudzą. Poza tym nigdy nie odniesie się do swojego życia, raczej do jakichś mądrych cytatów czy książek. Kompletnie dziwny typ: z jednej strony nie wygląda na wstydliwego, ale z drugiej wiesz, że tego najważniejszego nie usłyszysz. Podświadomie wyczuwasz, że pod tą piękną mordką i brawurową pewnością siebie skrywa jakąś skazę, zadrę, coś, czego nie pokazuje nikomu. Nie wiedzieliśmy jednak, co to jest. Na początku Mario starał się go wypytać. A Mario to pocziwiec: spowiada lepiej niż ksiądz i jest pewniejszy, że nie wygada, ale jemu też nie powiedział. Czasem jak się napił, to spuszczał głowę i patrzył w jeden punkt. Wtedy dało się zobaczyć, że nawet ktoś taki jak on ma problem.

– Teraz razem!

Daję znak, kiedy zacząć. Pętla zatacza kolejne kręgi. Wkręcamy się coraz bardziej. Utwór zaczyna żyć własnym życiem. Czuć, że każdy podłapał. Teraz to nie jest tylko mój kawałek, teraz każdy z tych nicponi dał swoją wyjątkową cząstkę. Jesteśmy jak jedno ciało, którego zadaniem jest grać najpiękniejsze melodie. Daję znak, że pauza. Jak na jedno ciało przystało, zatrzymują się w tej samej chwili. Zaczynam tupać. Chłopaki dołączają się bez zaproszenia. Marsz strażników. Drewniana podłoga skrzypi i stęka pod naszą twórczością. Znowu daję znak pauzy. Tupanie ustaje. Kończę, wchodzę stopniowo na C3. Zaciskam mocno usta, marszczę czoło, napinam zamknięte powieki. Trąbka rozdziera się krzykiem ukrytym głęboko we mnie. To jest ten skowyt, który tłumiliem przez ostatnie miesiące. Wycie, lecz nie to wilcze. To nie ma nic wspólnego z żadnym zwierzęciem. Tak wyje mężczyzna, który stracił miłość. Podobne dźwięki nie istnieją w naturze. Pewnie dlatego człowiek stworzył instrumenty – by dać ujście uczuciom.

W tych paru dźwiękach jest cały smutek po twoim odejściu. Gorsze niż ten ból jest tylko poczucie braku jutra, bo co to za jutro, skoro nie ma w nim ciebie? A może to to samo? To trochę jak myśleć, że dach może stać bez fundamentu. Ty byłaś fundamentem, na którym stawiałem kolejne cegiełki swojego życia. Obudziłem się w łóżku sam, nie tylko bez ciebie, ale i bez potrzeby pójścia po twoje ulubione bułki, bez wymyślania żartu, który cię rozśmieszy. Nagle przestało być ważne, czy pachnę, czy jestem uczesany, czy dobrze wyglądam. W okamgnieniu zaczęły upadać kolejne klocki domina – czwartkowe kino, weekend nad jeziorem tylko we dwoje, planowana od dawna podróż do Porto – niespodzianka na twoje urodziny. Nagle Ribeira pokryła się szarością, księgarnia Lello nie kusi już tajemnicą, kościół św. Franciszka zubożał, nawet Ponte de Arrábida układa się w kształt smutnych ust. Zostałem sam, lecz nie tylko bez ciebie, ale i bez wszystkiego, czym chciałem cię obdarować. Bez mruknięć, bez szeptów, bez muśnięć. Straciłem nie tylko kochankę, lecz także przyjaciółkę. Jediną osobę, której mówiłem wszystko, której ufałem, dla której chciałem być lepszy. Nadzieja to też śmieszne słowo, tyle w nim patosu, obietnicy, tak niewiele kłamstwa. A jednak to ona jest królową złudzeń. Zastoną dymną niepozwalającą dostrzec prawdy, która zmienia nas w słup soli. Chciałbym mieć chociaż jej krztynek, ziarenek kilka. Oszukać się choć na chwilę. Wstrzyknąć jak heroinę. Na moment odpłynąć. Nie patrzeć tej suce, prawdzie, prosto w bezlitosne oczy. Kłam, zwódź, oszukuj mnie, bo dzisiaj wiem, że gorszy od końca jest koniec, z którym trzeba żyć, ten pozbawiony nadziei.

Przechodzę do finału. Wyginam się jak w konwulsjach. Z trąbki ulatują ostatnie dźwięki pętli. Otwieram oczy. Czuję, że są wilgotne. Chłopaki patrzą. Odbieram płynące od nich współczucie. Po raz pierwszy od dawna nikt nie odważył się mi dosrać. Wszyscy jak jeden mąż przejawiają rzadką dla siebie empatię. To chwila, którą

zapamiętam do końca życia. Są takie dźwięki, które mówią więcej niż tysiące słów, setki gestów. Wyrażają dokładnie uczucia, o które poeci zaledwie się ocierają. Odbierają mowę największym zuchwalcom. Ciszsza jak makiem zasiał. Nikt nic nie mówi. Ale coś powiedzieć trzeba. A jednak nikt nie waży się zacząć. Patrzymy po sobie, jakbyśmy poznali wielką tajemnicę. Złączeni stworzeniem utworu na miarę *Symfonii pieśni żałosnych* współdzielimy ten czyn – czysty, piękny, choć przerażający. Ujście kanału, wszystkich nigdy niewypowiedzianych emocji. Nie wiem, czy dobrych, czy mrocznych. Są emocje, które nie mają nazwy. Dopiero gdy się pojawiają, dowiadujesz się, że istnieją. Nie dojrzałeś ich u wielkich pisarzy, a jednak one tam były, tylko nikt ich wcześniej nie nazwał.

– Trzeba się napić – przerywam impas.

– Oj tak – potwierdza z westchnieniem Mario.

Siadamy przy stole. Zamawiamy coś mocniejszego. Z rzadka wymieniamy spojrzenia. Są badawcze. Jakbyśmy chcieli się przekonać, czy reszta czuła podobnie. Ludzki umysł jest niesamowity. W jednej chwili z więzienia zabiera na wyżyny. Nikt nie jest w stanie zniewolić bardziej niż własny umysł, nic też nie może dać większej wolności. Możesz stać na pustej prerii, móc pójść w każdą stronę świata i być więźniem własnych wspomnień. Możesz być zamknięty za kratami, pilnowany przez dziesiątki strażników, lecz uśmiechniesz się błogo, bo twoje wnętrze jest wolne.

Czy to był pierwszy krok do wyjścia na prostą? Do tej pory myślałem, że przed całkowitym upadkiem ratują mnie wspomnienia, bo tylko dzięki nim mogę być blisko ciebie. Po tym doświadczeniu wiem, że są wymiary, w których jeszcze nie byłem, że są miejsca, gdzie jest cisza. Dekadencja, z którą się tak obnoszę, na chwilę znikła. Po miesiącach rozdrapywania w kółko tej samej rany doznałem spokoju. Przez moment byłem gdzieś, gdzie jest to, co prawdziwie jest mną – bez ciebie, bez myśli, bez pragnień. Doświadczenie jest

najlepszą formą poznania. Żadne słowa pocieszenia nie wyrwą cię z tej wielkiej pustki. To doświadczenie uzmysłowiło mi, jak wiele jest jeszcze do odkrycia.

### III

Knajpa zaczyna się zapęłniać. Goście schodzą się, by odpocząć po całym tygodniu. Robi się duszno. Pijemy ostatnią kolejkę. Żegnamy Saszkę. Chowamy instrumenty na zapleczu. Idziemy w miasto. Od progu uderza nas powietrze odżywające po całodziennej spiekocie. Wdychamy je łapczywie. Zaczynają się śmiechy – ten wyjątkowy moment uwolnił w nas wcześniej nieznaną energię. Czujemy jedność, jakbyśmy byli braćmi. Śmiejemy się nie dlatego, żeby nie było nudno, ale dlatego, że buzuje w nas radość. Ten wieczór, pierwszy od dawna, jest nią przepęlniony. Chcę, by trwał jak najdłużej. Wreszcie czuję coś innego niż mój nihilizm. Jestem lekki, wolny od trosk. Nogi niosą mnie same. Jest we mnie coś, za czym tęskniłem – beztroska pijanego nastolatka. Ekscytacja z nadchodzącej imprezy. Odkrywanie przyziemnych uroków życia. Po wzniosłym cierpiętnictwie chcę być prosty, tępy. Choć przez chwilę nie szukać sensu. Opuścić, opuścić, opuścić. Nie wspominać, nie pamiętać, nie roztrząsać. Pić, krzyczeć, śmiać się. Zapomnieć o wszystkim i po prostu być.

– *W kawiarniany gwar jak tornado jazz się wdarł i ja też chciałem grać!*

Miętus intonuje legendę. Dołączamy, każdy w innym momencie. Po chwili łapiemy wspólny rytm. Chwytny się za ramiona. Zbijamy w kręgu. Drzemy się na całe gardło, tak jakby utwór z minionej epoki nie stracił ni grama na aktualności. Braterskość między nami. Wóda w żyłach wyrывa nam z gardeł kolejne fragmenty *Autobiografii*.

– *Stu różnych ról, czym ugasić mój ból...*

To zostaje we mnie, lecz tylko na ułamek sekundy, bo już ruszamy przed siebie. Zajmujemy cały chodnik. Po hicie Perfektu nadchodzą kolejne klasyki. Ludzie gapią się na nas, ale jestem zbyt wcięty, by odróżnić, czy z niesmakiem, czy z rozbawieniem.

W końcu wchodzimy do pubu. Schodzimy po stromych schodach do piwnicy. Wita nas mętne światło i zaduch spoconych, pijanych ludzi. Zamawiamy browar. Pijemy toast za toastem. Za muzykę, za przyjaźń, za plany.

– A pamiętacie, jak Mario schlał się na tej domówce u Pabla? – pyta Miętus.

– Co? Nie – interesuje się Buźka, którego jeszcze wtedy z nami nie było.

– Wszystkim chciało się łać – kontynuuje wyraźnie podekscytowany Miętus – i nagle zrobiła się mega kolejka do kibla. Walimy, stukamy i nic, cisza! Myśleliśmy, że ktoś zasłabł, patrzymy przez kratkę na dole, już chcieliśmy wyważać drzwi, a tu nagle rozlega się głośne chrapanie, jakby ktoś tarł widelcem o tarkę!

– No bo zmęczony byłem! – tłumaczy się Mario. – Chciałem się położyć w sypialni, a tam jakaś parka się gziła, więc poszedłem do łazienki i ta wanna tak na mnie spojrziała, że mówię, zaprzyjaźnię się z nią!

– Czaisz, że Mario rozebrał się do gaci i poszedł spać do wanny!?

– Myślałem, że się wtedy zeszczam! – dodaje.

– I to szczeranie z balkonu na czwartym piętrze...! – wspomina z pewnym rozrzewnieniem Maniek.

– Epickie! Pelargonie matki Pabla chyba nigdy nie były tak elegancko podlane! – drze się Miętus.

– Dziwne, że sąsiedzi nie zadzwonili na policję – uzupełnia Maniek.

– To były czasy! – podsumowuję ze szczerym sentymentem.

Przeciskamy się przez tłum. Idziemy w kierunku, skąd dobiega dźwięk muzyki. Wchodzimy na drugą salę. Zespół gra jakiś znany

utwór. Na środku seksowna dziewczyna w czarnych dżinsach i koszulce. Włosy opadają jej ponętnie na twarz. Już widzę, że Buźka łowi ją spojrzeniem. Zawsze tak robi – wchodzi i rozgląda się za towarzyszką na najbliższą noc.

Kończy się utwór, zaczyna nowy. Przechodzą mnie ciarki, doskonale go znam. Uruchamia się lawina wspomnień. Cała euforia pryska. Znowu czuję, że jestem w mojej klatce. Gitarzysta kończy intro, dziewczyna zachrypłym głosem zaczyna krzyczeć: *come on, come on, come on*, i znowu cię widzę...

Nastawiasz płytę w gramofonie. Odwracasz się i patrzysz tym zaczepnym spojrzeniem. Nogą odsuwasz krzesło i sadzasz mnie na nim władczym ruchem. Nachylasz się i nucisz mi słowa Janis Joplin, *didn't I make you feel like you were the only man*, po czym całujesz mnie i odsuwasz się szybko. Obracasz się tyłem i zaczynasz zmysłowo kręcić biodrami. Zwiewna sukienka ociera ci się o uda. Przesuwasz dłońmi po ciele. Serce bije mi jak szalone. Chciałbym się na ciebie rzucić, ale posłusznie czekam na to, co zrobisz. Bierzesz drugie krzesło, siadasz na nim. Rozszerzasz nogi, jak w *Nagim instynkcie*. Dotykasz swoich ud. Zaczynasz się więc, rozpuszczasz włosy i nimi kręcisz. Wstajesz i powolnym krokiem zbliżasz się do mnie, nie spuszczać wzroku. Siadasz na mnie. Łapczywie cię dotykam, lecz ty zabierasz moje ręce. Na tym polega ta gra – doprowadzić mnie do granic szaleństwa. Całujesz mnie po szyi, powoli przesuwasz językiem. *Take another little piece of my heart now, baby* – nucisz mi wprost do ucha. Znowu patrzysz, jakbyś chciała się upewnić, że jesteś wyjątkowa. Zeskakujesz, odwracasz się i znowu eterycznie falujesz. Twoje ręce wędrują do szyi, rozwiązujesz wstążkę, która trzyma na tobie sukienkę. Nie pozwalasz jej opaść. Nie wytrzymuję. Wstaję, zdecydowanym gestem odsłaniania twoje piersi. Chwytam cię za szyję, przyciągam do siebie, nie tolerując oporu. Całuję cię drapieźnie jak wilk rozdzierający zdobycz. Obracam cię tyłem do siebie. Zatapiam spragnione dłonie w twoich

jędrnych piersiach. Całuje twój kark. Mózg już dawno stracił kontrolę. Nie wiem, co robię, nie zastanawiam się nad tym. Wszystko, co się dzieje, jest zapisane głęboko we mnie. Pożądanie, które zniewala umysł. Ta chwila, w której zapominasz o całym świecie. Nie widzisz dalej niż ciało ukochanej. Przez chwilę nie potrafisz odróżnić, gdzie zaczynasz się ty, gdzie ona. Scalasz się w jedno. Uderzenia gorąca. Twoja gładka skóra, ciche stęknienia. Fragment życia niepoddany prawom fizyki. Czas poza czasem, przestrzeń poza przestrzenią. Podróż, w którą można udać się tylko we dwoje. Z otępienia wyrывa mnie ostry szturchaniec od Buźki.

– Nie odpływaj, kolego. Jesteś tu i teraz, z nami. Dostyc tego uzalania się. Dzisiaj wracasz do żywych.

Piosenka się kończy. Zespół schodzi ze sceny. Wokalistka spotyka przyjaciółkę. Buźka chwyta mnie pod rękę i ciągnie. Poddaję się bezwładnie. Podchodzimy do stolika, przy którym siedzą. Buźka zagaduje. Przysiada się, nie pytając o pozwolenie. W mgnieniu oka kradnie całą uwagę. Przedstawia mnie, rzucając wydumany komplement. Dziewczyny się cieszą. Buźka odgrywa swoją rolę. Bryluje elokwencją połączoną z luzactwem i humorem. Nawet mnie udało mu się rozśmieszyć. Nagle namawia piosenkarkę, by zaśpiewała coś specjalnie dla niego. Nie pytając jej o zdanie, ciągnie dziewczynę na scenę. Grają Bonnie Tyler – *Total Eclipse of the Heart*. Dziewczyna jest naprawdę świetna. Ma ciemny, chrypiący głos. Pub trzeszczy w szwach. Rozemocjonowany Mario ściąga koszulkę, odsłaniając owłosiony brzuch. Rzuca ją dziewczynie pod scenę. Chłopaki powstrzymują go przed dalszym striptizem. Buźka się cieszy. Klub jest jego, ona pewnie już też. Chwyta za gitarę i wchodzi razem z nią na refren. Są bezbłędni. Ciarki na plecach. Ludzie krzyczą i gwizdzą. Nawet mnie się coś wyrwało, choć brzmiało to jak krzyk pisklęcia. Dają się ponieść ich grze. Rozchmurzam się. Wracają. Buźka nie zwalnia tempa. Piosenkarka cały czas się śmieje. Nie wiem, skąd on bierze te anegdoty. Przy nas

nie jest taki wyszczekany. Moja towarzyszka zaczyna rozmowę. Jest miła, bardzo delikatna, spokojna, ale rozmowna. Sprężyste, kręcone włosy za ucho dodają jej uroku. Ma na sobie białą, luźną koszulę z cienkiego materiału, pod którą rysuje się ponętny biust. Dziwię się – dobrze rozmawia mi się z kobietą, która nie jest tobą. Tłumię nieuzasadnione uprzedzenia. Piwo mnie rozluźnia. Nagle gadam jak na mnie naprawdę sporo. Wieczór leci jak szalony. Nie wiem kiedy, knajpa zaczyna pustoszeć. Widzę, jak chłopaki biorą pod ramię Maria, któremu urwał się film. Machają nam na pożegnanie. Maniś robi głupawą minę. Mięś puszcza oczko.

My też powoli się zwijamy. Wychodzimy z wilgotnego pubu. Oplata nas chłodne powietrze poranka. Buźka bez skrpułów obejmuje wokalistkę i się żegna. Nastaje niezręczna chwila, bo przecież wcale nie miałem ochoty na podryw. Pytam, czy odprowadzić ją do domu. Zgadza się. Patrzy na mnie badawczym wzrokiem. Czuję, że szuka ciepła i bliskości. Po chwili zaczynamy rozmawiać. Jest miło, bez napięcia. Ja, już niezłe wstawiony, płacząc się w zeznaniach, ona się śmieje. Ma bystre, niebieskie oczy. Jest inteligentna i apetyczna. Przechodzi ją dreszcz zimna. Odruchowo ją obejmuję. Nie wzbrania się. Wręcz przeciwnie, przylega do mnie. Teraz już jej nie mogę odepchnąć. Nawet nie chcę. Czuję się trochę nieswojo, a z drugiej strony i ja chcę poczuć trochę ciepła. Wsiadamy do autobusu. Opieram się o szybę. Ona przytula się bez słowa. Obejmuję ją. Mam wrażenie, że jesteśmy dwójką poranionych ludzi, którzy szukają w sobie ukojenia. Wysiadamy. Zaczyna świtać. Ptaki śpiewają pieśń poranka. Dochodzimy do klatki. Pocałunek – dziwny, niepewny. To pierwsze usta, których dotykam, odkąd twoje mnie opuściły. Robi się niezręcznie. Porzuciłaś mnie, a ja nadal czuję, jakbym cię zdradzał. Ona uśmiecha się do mnie i pyta, czy wejść. Kiwam głową. Wchodzimy do mieszkania. Idziemy do sypialni. Zaczynamy się całować. Staram się to poczuć. Zamykam oczy. Dotykam ją. Rozbieramy się. Łądujemy w łóżku.

Pieścimy się. W każdym miejscu jej ciała szukam ciebie. Nie znajduję. Rozpaczliwie chciałbym, byś to była ty. Przez chwilę zamykam oczy i wyobrażam to sobie. Kochamy się. Przez moment jest przyjemnie, lecz czuję, jakbym robił coś złego. Czuję wstręt, nie wiem do kogo. Przyjemność obcowania z kobietą ulatuje. Nagle chcę uciec jak przestępca przyłapany na gorącym uczynku. Nie wytrzymuję, zrzucam ją z siebie. Siadam na rancie łóżka. Czuję, jak jej dłoń delikatnie mnie dotyka. Wstaję jak poparzony. Ona próbuje mnie uspokoić, przekonać, że nic się nie stało. Jestem w amoku. Ona chce dać mi zrozumienie. Chwyta mnie za rękę i przyciąga. Odpycham jej dłoń i wymierzam policzek. Nie wiem, dlaczego to robię. Patrzę na swoją rękę, jakby nie była moja. Nagle wstyd wypiera poprzednie uczucia. Chwytam się za głowę, zaczynam ją przeproszać, nieudolnie tłumaczyć. Ona patrzy na mnie rozżalonym wzrokiem. Może podobnie jak ja chciała znaleźć kawałek dawnego uczucia? Może jak ja nie może sobie poradzić i szuka sposobu na to, jak znów być sobą? Może to Królowa Upadku? Przez zaciśnięte zęby rzuca nienawistne *wyność się*. Śpiesznie zbieram rzeczy. Ubieram się. Jeszcze raz błagam o wybaczenie i wychodzę. Nie chcę słyszeć, jak płacze.

#### IV

Wybiegam z bloku jak oparzony. Idę szybkim, nerwowym krokiem. Myśli niczym szczury na tonącym okręcie wydrapują dziury. Pali mnie wstyd, gniew na siebie i kompletna bezradność. Nie wiem, co ze sobą zrobić. Myślałem, że gorzej być nie może, a jednak niechcący dołożyłem sobie kolejną porcję frustracji. Doszedłem do punktu, w którym straciłem kolejną część siebie. Przyzwoitość – tyle miałem. Teraz już nawet nie będę mógł o sobie pomyśleć jak o porządnym chłopaku. Moja niewinność umarła wraz ciosem wymierzonym kobiecie, która zawiniła tylko tym, że nie była tobą. Biegnę coraz

szybciej, bojąc się, że jak się zatrzymam, to stanie mi serce. Nie mogę dojść do siebie. Mam ochotę walnąć głową w mur – dosłownie, bo w przenośni robię to od dawna. Nie zauważyłem, kiedy straciłem samego siebie. Gubimy się niepostrzeżenie. Nie jesteśmy w stanie dostrzec momentu, w którym zbaczamy ze szlaku. Idziemy jak koń z zaślepkami. Nagle budzimy się w ciemnej gęstwinie, z której nie ma wyjścia. Ja szedłem długo, aż twoje oczy i uśmiech straciły barwę. Szedłem tak długo, że nie pamiętam początku. Ani twojego zapachu. Zapomniałem utwór, przy którym tańczyliśmy po raz pierwszy. Nie pamiętam spojrzeń, dotyku. A jednak wiem, że byłaś i pachniałaś jak wiosna, że twój śmiech dźwięczał jak czysty kryształ, że wpuściłaś powietrze w moje stężałe płuca. Nie wiem, kiedy skręciłaś w boczną uliczkę, która prowadzi do miejsca, gdzie nie ma słowa *my*. Idę i nie wiem, kiedy straciłem siebie.

Wchodzę do mieszkania. Kieruję się prosto do kuchni. Wyjmuję z szafki flaszkę „na wszelki wypadek”. Niczym morfina odetnie nadmiar bólu. Łapczywie biorę łyk do ust, trzymam z wdzięcznością, przełykam, oddycham. Piekące ciepło przepływa przez moje ciało. Niech wypali to wszystko! Nie chcę dłużej, nie chcę tak, nie chcę bez ciebie. Choć dziś po raz pierwszy poczułem, że nie wiem, czy chcę z tobą. Po raz pierwszy poczułem do ciebie nienawiść. Popijam kolejny łyk. Nie żałuję sobie. Żołądek skręca się w rulon. Dopiero teraz przypominam sobie, że oprócz soku pomidorowego niczego nie jadłem. Jestem mokry. Czuję zaduch tego syfnego mieszkania, śmierdzącego starością, przeпоconą pościelą i petami. Krzyczę do pustych ścian. To przez ciebie straciłem niewinność! Opróżniam butelkę i rzucam nią z całej siły w ścianę. Resztki alkoholu rozbryzgują się po pokoju. Przez zamach tracę równowagę. Przytrzymuję się framugi. Buzuje we mnie złość. Czekam, aż wódka zrobi swoje – odetnie mnie w końcu od tych wszystkich myśli, uczuć, żalu. Nim to nastąpi, myślę jak zwykle o tobie. O tym, czy byłaś wyrachowana,

czy niewinna. Co z odpowiedzialnością? Morderca, posyłając kule, wie, że odbiera życie. A ty? Czy posyłając uśmiech, spojrzenie, jesteś bez winy? Nie widzisz, jak twoja ofiara umiera. Krew nie bluzga na twą twarz. Nie słyszysz jęków konającego, nie widzisz błagalnych spojrzeń, by nacisnąć spust i zakończyć cierpienia. Ulotniłaś się tak samo niewinnie, jak się pojawiłaś. Pewnie nie chciałaś zabić, kochać z pewnością też nie.

## V

Budzę się. Serce wali jak oszalałe. Patrzę tępym wzrokiem przed siebie. Leżę tak, jak upadłem. Nie ruszam się dobre pół godziny, bezmyślnie wpatrując się w deski starej podłogi. Stękam. Głowę rozsadza mi kac. Mdli mnie. Leżę tak i zdycham. Mogę się ruszyć, jednak boję się, że będzie boleć jeszcze bardziej. Po godzinie dochodzi mnie mój własny odór potu i alkoholu parującego przez piekącą skórę. Nie wiem, która godzina. Nie ruszając głową, patrzę na światło padające przez okno w dachu. Słońce wstało już dawno temu. Moja nora nagrzała się do nieprzytomności. Niesprzątana od dawien dawna wydziela zapachy trudne do zniesienia. Bardzo dobrze wybrałem swój grobowiec – w końcu ma służyć do umierania. Umarłym niepotrzebne wygody, eleganckie meble i drogie sprzęty. A jednak w tej chwili dałbym wiele, by przestało mnie mdlić. By poczuć chłodną bryzę. Usłyszeć szum fal. Położyć się na piasku i wciągnąć głęboko powietrze.

– Przecież sam sobie wynająłeś tę klitkę.

Odpowiadam stęknieniem.

– Co przesadziło się wczoraj?

– Spieprzaj.

– Huhuhu, Król Straceniec dogorywa?

– Spieprzaj, mówię!